Nr. 3. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 1. lutego 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

KALENDARZ ŁOWIECKI W lutym wolno polować na cietrzewie koguty.

NR. 3. WE LWOWIE, 1. LUTEGO 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Przypominamy, że według nowej ustawy łowieckiej czas ochronny na kozły (sarny) poczyna się z dniem 1. lutego.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

XXI., XXII., XXIII., XXIV., XXV., i XXVI. pole.

Stanisław hr. Dzieduszycki: 10 żbików, ubitych w Sokołowie koło Stryja.

Mimo ustawicznego tępienia tych drapieżników, ściąga je zwykle w zimie, gdy rzeki staną, z okolicznych wielkich obszarów leśnych, bażantarnia sokołowska.

XXII. i XXIII. pole.

Marjan Borecki: 20 par rożków sarnich, między którymi było kilka mylkusów. Największą jednak wartość posiadały rożki starego rogacza, o formie szpiczaka, pięknie uperlone, o 27 cm. wysokości, i o 15 cm. w obwodzie róż.

Konrad Ungnad hr. Weissenwolf: w tych samych polach, 8 wieńców jelenich. Wśród tej wspaniałej kolekcji karpackich trofeów z Wetliny należało się bezsprzecznie pierwszeństwo potężnemu 20-kowi, wystawionemu w polu XXIII. Nagr. I.

XXIII. pole.

Dr. Adam Lardemer: wypchanego dzika białego, ubitego w Niepołomicach 1909. roku.

XXIII. i XXIV. pole.

Franciszek Tschapek: parę rożków regularnego szóstaka z wybujałościami perłowemi i daszkowatemi różami.

Stanisław Kumor: w tych samych polach, parę pięknych i silnych rożków szóstaka wysokości 28 cm. i 18 cm. obwodu róż, mimo, że róże daszkowato zwisały ku dołowi. Rożki te były jednemi z najokazalszych na wystawie.

Dr. Witołd Korytowski: okazały, pięknie spreparowany łeb odyńca, ubitego przez siebie 24. lutego 1896 w Toporowie.

Juljusz Kownacki: 8 par rożków sarnich i 4 zrzuty. W kolekcji tej wyróżniały się oryginalnem uperleniem i kształtem róż, rożki nieregularnego ósmaka. (Nagr. II.).

XXV. i XXVI. pole.

Juljusz hr Bielski: 3 pary szabel dziczych. Szable te, zdobycz wystawcy, pochodzące z niziny Dniestru, były przepotężne. Opatrzone datą 1889. odznaczały się olbrzymią długością 24 cm. (Nagr. I.), drugie zaś z roku 1906, nadzwyczaj grube, (Nagr. II.).

Stanisław hr. Mycielski: rożki sarnca, ubitego w r. 1896, pochodzące z Nienadowej, (ziemia przemyska) budziły powszechny zachwyt, jako najwspanialszy okaz na wystawie. Ich fenomenalna wysokość wynosiła 31·5cm.; obwód lewej, silniejszej róży 21 cm., prawej 19 cm., rozpiętość 16 cm. Gałązki odpowiednio grube i długie na pniu lewym 11 cm. wykazywały znamiona ósmaka. Słusznie też odznaczone zostały Rs. i Mz.

Dr. Artur Kriser: łeb jelenia, 11 wieńców, 3 pary rożków, łeb wilka i skórę rysia. Trofea te, pochodzące z dóbr Kruszelnica w górach stryjskich i z wyjątkiem rysia i wilka, zdobyte zostały przez wystawcę. Wszystkie te wieńce były wspaniałemi okazami, a dwa z nich, 18-tak i 16-tak, zasługiwały na baczniejszą uwagę. Pierwsze jednak miejsce między nimi zajmował wspaniały łeb jelenia, o wieńcu silnego i pięknego dwunastaka, dającego wyobrażenie, jak zwierz ten musiał być ogromny. Wieniec 18-taka wyszczególniono Nagr. II.

Na osobnych sztalugach wystawili:

Adam Fedorowicz: nieregularny, niezwykle ukształtowany wieniec dwudwudziestaka, u którego gałęzie oczne, niepomiernie w stosunku do nadocznych rozwinięte, jakoteż gałęzie środkowe, zwracały uwagę. (Nagr. II.).

Ks. Henryk Liechtenstein: na pięciu sztalugach w środku sali ustawionych, 8 wieńców jelenich i 2 pary zrzutów. Był to wybór bogatego zbioru trofeów, pochodzących z rewirów w Nadwórnie. Pierwszorzędnej wartości okazy te, odznaczały się imponującymi rozmiarami i pięknem uperleniem. Na uwagę znawcy zasługiwał nieregularny szesnastak o 4 gałęziach bojowych z każdej strony, przypominający zatem formę wieńca jelenia marala (C. maral). Z tej grupy jeden czternastak otrzymał Nagr. I.

Sztaluga ze wspaniałemi porożami, oznaczona nazwiskiem „Rudolf Pick“ była świadectwem niezwykłego spotkania, jakie miał w Nadwórnie art. malarz Pick; położył on bowiem dwa jelenie celną dwójką *(coup double)*, gdy walczyły w miłosnym szale o nagrodę dam!... Poroże 18-taka z tej pary odznaczono Nagr. II.

Józef Jankowski i Tadeusz Mokłowski, architekci lwowscy, wyłożyli na stołach: 2 plany schroniska karpackiego Towarzystwa narciarzy, widok domu myśliwskiego, 2 plany domu wiejskiego, 3 plany koleby, 3 plany zamku myśliwskiego.

Projekty te były bardzo szczęśliwie rozwiązaną próbą odtworzenia dawnego stylu polskiego, przechowanego do naszych czasów w fragmentach zabytków architektonicznych. Wyróżniając się swoim charakterem, zwróciły nawet uwagę cesarza.

Myśliwskie Towarzystwo lisowickie: w polu XVII, dwie księgi (kroniki polowań) i na osobnej sztaludze tablicę corocznego odstrzału.

Towarzystwo to założone w r. 1871., na mocy wówczas zatwierdzonego statutu, istnieje do dnia dzisiejszego. Dzierżawi ono prawo polowania w rządowych rewirach Lisowice, Taniawa i Bolechów.

Księgi zawierały protokoły polowań od dnia założenia, tablica zaś uwidoczniała statystykę odstrzału przez cały ciąg istnienia Towarzystwa.

* * *

Osobno wystawił **Hipolit Frommer** domek myśliwski (kolebę) własnego pomysłu, który łatwo i szybko daje się ustawić i rozebrać. Praktyczny ten wynalazek podobał się cesarzowi, w którego obecności konstruktor dokonał rozebrania i ustawienia tego przenośnego schroniska.

Po tym szczegółowym przeglądzie naszej Galerji, zajrzyjmy też do Pawilonu dóbr państwowych. Pośród mnóstwa trofeów w nim wystawionych, z galicyjskich, prawdziwy zachwyt znawców budziła imponującymi rozmiarami i pięknością czarnych kudeł skóra ogromnego niedźwiedzia, ubitego 13 kwietnia 1906 w Jasieniu przez dr. Władysława Burzyńskiego, tamtejszego wówczas zarządcę lasów.

Podziwiano tu również m. in. potężny łeb odyńca, wspaniałe poroża jeleni, harmonijnie ukształtowane i bogato uperlone, niemniej też okazałe rożki sarnców 10-taka, 8-ka i 6-taka.

Wszelako scałkowania obrazu trofeów naszych należało szukać — jak to już wyżej powiedziano — w osobnych pawilonach byłych arcyksiążąt austrjackich i w gabinetach t. zw. „Erinnerungsstübchen“ kilku magnatów zagranicznych, polujących w naszych łowiskach karpackich.

Godziłoby się niektóre z wystawionych tam eksponatów wymienić i opisać, choćby ze względu, iż nasze knieje je dostarczyły i zasłużoną sławę naszemu łowiectwu okazałością swą przyniosły, — ale zostawmy to...*)

Żądni jednak tych zajmujących szczegółów, znajdą je zamiast tu — jak być powinno — w artytułach Dr. E. Schechtla, zamieszczonych w roczniku „Łowcu“ 1911 (kto go posiada), a także w fachowych czasopismach myśliwskich z onej doby, mianowicie: „Jagd und Wild“, „Wild und Hund“ i „Waldmannsheil“.

C. d. n.

*) Szan. Pan Redaktor orzekł, że to dziś dla „Łowca“ rzecz nieaktualna i mało kogo interesuje (?). — Nasuwa się jednak pytanie, czy w historji działalności naszego Towarzystwa wolno zbywać ogólnikami najchlubniejszy jego wyczyn ?...

(Od Red.). Rzecz polega na nieporozumieniu. Nie twierdziłem, że rzecz to nieaktualna, lecz zamiast przedrukowywać katalog wystawy w całości, radziłem podać w streszczeniu wykaz wystawionych objektów. *(A. M.)*.



KAROL DUDIK.

W sprawie hodowli sarn.

W Nr. 9. „Łowca“ z r. 1926 poruszyłem sprawę normalnego stanu sarn w rewirze i też kwestję, czy odstrzał kóz należy ograniczyć wyłącznie tylko do kóz jałowych, czy też jest wskazanem regulowanie stanu przez odstrzał kóz innych, niejałowych.

P. A. Mniszek w swojej cennej odpowiedzi w Nr. 11. „Łowca“ sprecyzował liczbę normalnego stanu w warunkach bardzo dobrych: na 10 morgów do $1^1/_2$ sztuki, w gorszych do 1 sztuki, uważa stosunek kozłów do kóz jak 1 : 1 za najlepszy, przypuszcza, że przyrost roczny od 10 kóz dorosłych wynosi około 8 koźląt, przyczem więcej kozłów aniżeli kóz; zauważa dalej, że ma być co roku odstrzelona $^1/_5$ rogaczy, w tem $^1/_4$ kapitalnych, z nadliczbowych zaś kóz mają być odstrzelone w pierwszej linji jałowe a następnie młode.

Inne artykuły w N-rach 1. i 3. ograniczają się raczej do kwestji, czy rogaczowi należy się śrut, czy też wyłącznie kula. Kwestja ta dotycząca odstrzału w porze zimowej będzie zawsze sporną, albowiem myśliwy posiadający talent do strzelania kulą, dalej posiadający odpowiednią broń i czas do ćwiczenia się w strzelaniu — zawsze będzie wolał popisać się kulami, natomiast, gdzie odstrzał kozłów praktykowany jest w zimie przed nagonką, tam odbywać się będzie przeważnie śrutem.

Na twierdzenie, że strzelanie śrutem dale wiele postrzałków, trzeba koniecznie odpowiedzieć, że o ile jest mowa li tylko o strzelaniu na odległości myśliwskie, to szanse pewnego strzału przy kuli i śrucie będą prawie równemi.

Nie może być kwestją sporu, że rogaczowi kapitalnemu należy się wyłącznie kula. Strzał śrutowy do rogaczy lichych, których jeszcze przed rują trzeba się pozbyć, oraz do takich rogaczy, które noszą rogi w czasie niewłaściwym, nie może być uważany za niemyśliwski.

Odstrzał nadmierny zwierzyny we większych gospodarstwach łowieckich, którego celem jest zredukowanie zwierzyny do stanu normalnego, gdzie rozchodzi się o odstrzał poważniejszych ilości powinien się odbyć wyłącznie w porze zimowej, o ile chcemy mówić o łowiectwie jako gałęzi gospodarstwa narodowego. Gospodarstwa te są administrowane przez ludzi facho-

wych, którzy najlepiej wiedzą jak się z odstrzałem urzadzić, aby błędów nie popełniać. Tu kwestja, czy strzelać śrutem, czy kulą, czy przed nagonką i jaką nagonką, czy na podchodzie, czy podjeździe, będzie drugorzędną, a najważniejszą, aby zwierzynę w stanie użytecznym dostarczyć na rynek zbytu.

Z doświadczenia wiemy, iż transporty zajęcy z okolic odleglejszych nawet i w porze zimowej ulegają nieraz zepsuciu — o ile natrafiają na silną odwilż.

Niewyobrażam sobie, zwłaszcza przy większem oddaleniu rewiru od stacji kolejowej, bespiecznego transportu sarniny w porze letniej lub jesiennej, tembardziej, że wysyła się na raz tylko drobne ilości, których transport do koleji jest niestosunkowo drogi.

Z doświadczenia też wiemy, że gospodarstwa łowieckie rzadko kiedy są aktywnemi, przeważnie w najlepszym wypadku deficyt jest stosunkowo nie wielki. Staraniem naszem powinno być, aby właśnie deficyt ten możliwie zredukować, gdyż w przeciwnym razie nie moglibyśmy łowiectwa nazwać „gospodarstwem“. Dlatego powinniśmy dbać o możliwie korzystne zużytkowanie zwierzyny, jako głównego dochodu z łowiectwa, zwierzynę tę w możliwie jak największych ilościach hodować i sprzedawać. Nie może być mowy o traktowaniu zwierzyny jako zła koniecznego, lecz nie może też gospodarstwo łowieckie żyć kosztem innych gospodarstw a musi być z gospodarstwem rolnem i leśnem zharmonizowane.

Organiczne takie wcielenie łowiectwa w ramę gospodarstwa narodowego ustala jego wartość gospodarczą i zabiera jemu pod tym względem niefortunną dziś może cechę sportu.

Do aktywności gospodarstwa łowieckiego w wysokim stopniu przyczyni się odstrzał nadliczbowych kóz w porze zimowej.

Jeżeli przyjmiemy za p. A. Mniszkiem, że stan rogaczy do kóz powinien być jak 1 : 1, że przyrost roczny na 10 kóz wynosi 8 młodych prawie równo kozłów i kóz a odstrzelić należy tylko $^1/_5$ rogaczy, musimy odstrzelić conajmniej też $^1/_5$ kóz co roku. W warunkach dla zwierzyny korzystnych, gdzie też zwierzyna szkodliwa jest tępioną, gdzie niema kłusownictwa, gdzie zimą sarny się karmi i istnieją n. p. duże szopy jako schroniska — odstrzał taki jest za niski, gdyż teoretycznie zwiększa się już w roku następnym stan pierwotny.

Chcąc cyfry powyższe poddać krytycznej rozwadze, należy wpierw określić pojęcie rewiru sarniego a następnie pokusić się o ustalenie cyfry normalnego stanu sarn.

Rewir sarni składa się zwykle z lasów i przylegających do nich gruntów rolnych. Sarny przebywają zwykle przy krajach lasów, nie lubią zbyt głębokich kniei a przyjąć możemy, że wychodzą z lasu w pola nie dalej jak około 300 metrów. Rewir sarni składa się zatem z lasu i otaczającego las pasa gruntów rolnych urodzajnych szerokości około 300 metrów. Im dłuższy pas urodzajnych pól otacza lasy, tem lepszy będzie rewir. Stosunek geometryczny zatem obszaru lasu do obszaru otaczającego las pasa określa nam poniekąd stopień jakości rewiru.

Drugim czynnikiem przy określeniu jakości rewiru jest oczywiście gleba.

Zwierzyna jest produktem gleby, jak wszelka inna fauna i flora.

Ilość zatem zwierzyny zależną jest od jakości gleby.

Z powyższego wynika, że rewiry sarnie możemy podzielić I-o na klasy jakości gleby, przyjmując np. 3 klasy, II-o na klasy według stosunku lasu do otaczającego go pasa gruntów rolnych, ustalając np. również klas np. 3, a otrzymamy 9 klas rewirów, które już łatwo co do ich jakości możemy określić i dla tych poszczególnych rewirów byłby stan normalny do wypośrodkowania.

Jako najlepszą klasę rewirów sarnich pod względem gleby uważam czarnoziemie podolskie, w najgorszych pod tym względem doświadczenia nie mam, jako średnie uważałbym rewiry położone w okolicy Lwowa, położone na glinkach nieprzepuszczalnych. Najgorszemi rewirami sarniemi będą oczywiście okolice piaszczyste, bagniste i góry.

P. A. Mniszek podaje jako stan normalny w najepszych warunkach 1·5 sztuki na 10 morgów. Cyfrę tę uważam za wygórowaną. W konkretnym wypadku, gdzie w warunkach najlepszych stosunek lasu do pasa pól jest jak 1·8 do 1 — przy 4660 morgach obszaru rewiru obliczonego w sposób opisany — może normalny stan sarn wynosić około 280 sztuk t. j. na 10 morgów 0·6 sztuki; cyfra ta jest według mojego zdania maksymalną a przez długie lata ustaloną. Uważam bowiem też, że stan zwierzyny jest wtedy normalny, gdy szkody wyrządzone przez nią nie są dotkliwemi, gdy one — praktycznie rzecz określając, nie są przedmiotem wielkich dyskusyj ani w gminie, ani w rewirze.

W powyższym rewirze stan obecny wynosi około 700 sztuk; jest wykluczonem bez specjalnych kosztownych zabiegów utrzymać jakąkolwiek kulturę leśną, a szkody w polach gminnych przypuszczalnie wynosić będą rocznie około 5.000 Zł.

Dla ciekawości dodaję, że w rewirze tym jest odstrzał nie tylko kóz, lecz i rogaczy od 2 lat zamknięty!

Dotyczący pp. Delegaci T. Ł. nie znając zupełnie stosunków miejscowych tak zaopinjowali i basta. Lecz kto poniesie odpowiedzialność za szkody? Nie wiadomo bowiem, jak w takim wypadku sprawę rozstrzygnie w danym razie postępowanie sądowe.

Sprawę poruszyłem głównie dlatego, aby po przeprowadzonej dyskusji na łamach „Łowca“ stworzona została podstawa do określenia normalnego stanu sarn a nie byliśmy w dalszym ciągu zależni od widzimisię stronniczych delegatów. Myślę, że postępuję zgodnie z P. T. Redakcją, jeżeli poproszę liczniejsze grono zainteresowanych o wypowiedzenie swojego zdania w tej ważnej kwestji.

Podaję poniżej kilka cyfr wypośrodkowanych na

podstawie konkretnych przykładów, obserwowanych osobiście przezemnie w ciągu minionych 25 lat:

A.) Tereny najlepsze

Obszar w morgach	Stosunek lasów do pasów	Sztuk na 10 morgów	Stan normalny sztuk
625	1 : 1	0·6	40
4660	1 : 1	0·6	280
2210	2 : 1	0·4	90
B.) Tereny drugorzędne			
400	1 : 1	0·5	20
1215	1·5 : 1	0·5	60
4930	2·5 : 1	0·2	100
940	3·0 : 1	0·2	20

Wspomnę wreszcie jeszcze raz o sprawie odstrzału corocznego nadliczbowych kóz oraz kóz jałowych. Skoro roczny przyrost kozłów i sarn jest prawie równym, jest logicznem odstrzelić co roku oprócz pewnej ilości rogaczy, też pewną ilość kóz.

Dotychczasowa praktyka w tym kierunku przeważnie ograniczała się li tylko do podań o odstrzał kóz jałowych a tu gospodarstwa łowieckie, nawet bardzo wysoko stojące, napotykały na trudności i zwykle była żądana ilość znacznie redukowaną, o ile wogóle pozwolenie na odstrzał się otrzymało.

Należałoby zatem orjentację pod tym względem zasadniczo zmienić i odstrzału kóz nie ograniczać li tylko do kóz jałowych, lecz do kóz nadliczbowych a traktować odstrzał ten jako rzecz coroczną i normalną.

Przyznaję, że przy naszych faktycznie różnorakich gospodarstwach łowieckich nie może być dla kozy sarniej zniesiony całoroczny czas ochronny i że nie może być ustawowo oznaczony czas odstrzału, bo w źle administrowanych rewirach byłoby to równoznacznem z zagładą sarn.

Natomiast traktowanie sprawy, jak dotychczas, na branie pod jeden strychulec polowań dzikich wraz z gospodarstwami dobremi, uważam za niesprawiedliwe a te ostatnie w wysokim stopniu krzywdzące.

Zresztą mam wrażenie, uzasadnione długoletniem obserwowaniem, że trzymanie za wielkiego stanu kóz a w szczególności kóz za starych, oraz za mało odświeżonego i stosunkowo za licznego stanu sarn wogóle — obniża jakościowo stan zwierzyny, co występuje w formie lichych rogów.

Jestem zdania, że byłoby na czasie zająć się głębszem zbadaniem tego zjawiska. Uskutecznić dałoby się to przez znaczenie koźląt pewnego rodzaju markami. Oczywiście znaczenie takie musiałoby być oparte na szerszej podstawie, objąć pewną większą połać kraju i być zcentralizowane w Tow. Łow. Za inicjatywę w tym kierunku zapewne hodowcy sarn, którym na jakości rogów wiele zależy, byliby wdzięczni a chętnie do badań takich przyczyniliby się. Uwzględnienie strony teoretycznej łowiectwa zapewne też podniosłoby jego znaczenie wogóle, a zapoznanie się z tajemnicami natury pod tym względem, uczyniłoby też najprzyjemniejszą część gospodarstwa łowieckiego t. j. polowanie jako takie o wiele sympatyczniejszem.

W interesie łowiectwa zapraszamy więc doświadczonych hodowców i myśliwych o jaknajliczniejszy objektywny udział w pracy w powyżej zainicjowanym kierunku.



JULJUSZ BORKOWSKI.

Moje wspomnienia z Dawidgródka.

Ze drżeniem chwytam za pióro, by rzucić na papier garść żywych — niestety dziś już tylko wspomnień, z zimowych polowań w Dawidgródku.

Czem Mekka dla wyznawców Koranu, tem Dawidgródek dla duszy prawdziwego myśliwego, więc niejeden napróżno modlił się i wzdychał: „Sezamie otwórz się!“

Najmilsze zaproszenie Księcia Karola, dla nas kilku wybrańców losu, drzwi raju rozwarło i drugiego Stycznia b. r. w piękny, mroźny dzień zimowy — książęcy zamek w Mańkiewiczach, gościnne swe dla nas otworzył podwoje, a potem trzy i pół dnia żyłem w tej przeogromnej Radziwiłłowskiej puszczy jak w jakimś śnie złotym!...

Pod białym całunem śniegu, Polesie, swój zwykły wygląd zmieniło — rzeki, jeziora i przepastne bagna skute lodami, a przez bezkresne śnieżne przestrzenie książęce rumaki lotem strzały niosły nas po zamarzłej, lustrzanej wód tafli — to w bliższe, to dalsze, głębokie, ostępów tajniki — ku tym przecudnym prawiecznej puszczy zakątkom, gdzie dla nas zwierz dziki, był dzisiaj tropiony.

I zdawało mi się, żem żywcem w zamierzchłe przeniesiony czasy Sassów lub Jagiellonów, że biorę udział w owych sławnych łowach Księcia Karola „Panie Kochanku“...

Śnieżne, bezludne przestrzenie, cudowna scenerja; postać samego Księcia Ordynata i ta puszcza — poważnie a dumnie szumiąca nad głową pieśń o czasach minionych — coraz żywsze przeszłości wywoływały obrazy.

POLOWANIE W DAWIDGRÓDKU W DNIACH 3, 4, 5 i 6 STYCZNIA 1828 R.



Stoją od lewej ku prawej: St. Kiełczewski, Ordynat Karol ks. Radziwiłł, Cyryl Czarkowski-Golejewski, Starosta Stoliński p. Wendorf, hr. Juljusz Borkowski (siedząc), Tomisław Jędrzejowicz, hr. Juljusz Bielski, pani Marta Zdziechowska, Józef Jabłonowski, Kapitan de Fleurieu, sekretarz Ambasady francuskiej Le Verdier, pani Issakow, Władysław ks. Radziwiłł.

Na leśnictwach lub strażach, oczekiwały nas małe poleskie saneczki, z „duhą“ w jednego zaprzężone konia — liczna nagonka poważnych a szarych i cichych jak ich ziemia Poleszuków! Książęca straż leśna, bajeczni osacznicy i sfory ogarów. I rozpoczynały się raporty: tu wilki, w takim a takim trzymają się ostępie, — tam ryś ogromny przeszedł przez wraże jakieś uroczysko, a dziki obległy. — Więc Książę rozkazy wydaje: „sprawdzić czy ryś zaległ — na wilki ostęp otoczyć lapami — a my tymczasem na dziki, więc spuścić ze sfory ogary, potężny odyniec, w ostępie tym zaległ“!

Ryś, pan tej puszczy, zwierz mądry a chytry wciąż kluczył i mylił ślady; osaczyć się nie dał — wilki, osacznikom dwa razy się wymknęły, aż wreszcie dnia przedostatniego w ostępie „Łuki“ — Wielenickiego leśnictwa, tuż pod nienaruszalną łosi ostoją — zamknięto je lapami; stary basior i dwie wadery.

Szczęśliwi ci, których św. Hubert tym pysznym obdarzył spotkaniem! Dwie piękne wilczyce padły, wilczur lekko postrzelony, wyślizgnął się z kniei. Dzików było dużo i same sztuki potężne — po trzcinach wśród łozy — szły z głuchem tententem jak szwadron konnicy; aż jęczał bór stary, a serce nieraz zbyt żywo zabiło na myśl tak pięknego spotkania. Ręka i oko miast się popisać celnością swych strzałów przed gospodarzem, najpierwszym a w wielkim stylu myśliwym — ta ręka nieraz zadrżała, chybne ku zwierzu śląc strzały.

Więc nic dziwnego że tylko osiem dzików było na rozkładzie — ale sztuki zato wspaniałe.

Gospodarz królewskie wyprawił nam łowy —

chciał by nas starych „Lisowczyków“ godnie przyjęła, ta przez niego tak umiłowana, puszcza Jego poleska! Oprócz owych dwóch wilków, padło cztery potężne, o krzywych szablach odyńce, trzy grube lochy, jeden warchlak tylko — aż dnia czwartego w samo południe, zagrały nam rogi halali w Stasińskiem leśnictwie i trzeba było te cuda Boże pożegnać, w pielesze powracać domowe...

I choć już miesiąc mija od tej chwili, królewski szum puszczy wciąż w uszach mi dzwoni, w oczach stoją przepastne ostępy; zamek Radziwiłłowski z chorągwią u szczytu i sień zamkowa, gdzie jak za Kiejstutowych czasów, ogromne kłody palą się w kominie!— Łosie rogi po ścianach, łby wilcze, głuszców wachlarze i kły odyńców w długich, długich szeregach — żywa historja tej wspaniałej kniei. A w ganku — przemile wytworna sylwetka samej Księżnej Pani i jak ze starych zdjęta konterfektów typowa postać Księcia Ordynata...

Myśli z serdeczną wdzięcznością w dal biegną ku tym przepysznym poleskim uroczyskom, ku modrym wodom Horynia i Lwy — ku szarej, dążących, Prypeci, — ku tej puszczy jak świat wspaniałej, kędy danem mi było, przeżyć przecudnych chwil kilka, jak w bajce...



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

I.

Antylopa „Mbawala“ a lampart

Ciąg dalszy.

Polując w moim rejonie w Szamu na „Mbawalę“, polowałem właściwie na tego rabusia, chociaż nigdy o nim już nie mówiłem. Żywiłem ciągle jeszcze nadzieję, że przecież kiedyś stawi mi się przed lufę, i że św. Hubert, jakkolwiek jeszcze nie rozpostarł swej opieki nad myśliwym w Afryce, da mi swoje „placet“ na dobry strzał do lamparta.

Aby mieć lepszy przegląd zwierza, który wchodził i wychodził z gąszczu za domem, kazałem (oprócz drożki dookoła lasu) wyciąć drożynę przez las tak, że do dolinki i strumienia dostać się mogłem w kilka minut.

Dzięki tej drożynie, która pozwalała mi każdego czasu zjawić się niespostrzeżenie za laskiem, udało mi się w ciągu miesiąca ubić trzy „Mbawale“. Każdą z nich dostałem na dobry strzał w chwili, gdy wyskakując z gąszczu zatrzymała się, zanim zanurzyła się w trawy, jakby dla zbadania sytuacji. Po każdym takim wypadku należało przeczekać czas dłuższy aż się uspokoją, a wynosiły się widocznie na inny odcinek gąszczaku, na co wskazywał zupełny brak świeżych tropów. I nocą także wychodziły z innej strony, bo że kręciły się po swojem schronisku, mogłem łatwo sprawdzić z tropów, jak również po szczekaniu, zresztą dość głośnem, wabiących koziołków.

Pewnego dnia wracałem z dalszej wycieczki. Dwaj towarzyszący mi chłopcy ledwie się wlekli za mną pod ciężarem mięsa i skóry zebry, którą w górach ubiłem. Było południe i spiekota wprost nie do zniesienia. Znalazłszy się u stóp pagórków nawprost gąszczaku — postanowiłem przeciąć dolinkę i wejść na wiadomą ścieżkę, aby jaknajprędzej dostać się do domu. Nie chcąc, aby kafry z ciężarem, jaki nieśli na drągu, przedzierali się za mną przez trawy, kazałem im wejść na ścieżkę okrężną, prowadzącą również do naszego osiedla.

Przebiwszy się — o ile było możliwem najciszej — przez trawy, znalazłem się wnet pod gąszczakiem u wylotu drożyny. — Tam zatrzymałem się chwilę w pozycji nadsłuchującej, jakto było już moim zwyczajem, gdym wchodził w krzaki. Cisza. Już miałem pójść dalej, gdy stary kozioł „Mbawali“ wypadł na ścieżkę, i przeskoczywszy ją ponurkował dalej w mroczny głąb lasku.

I przyszła mi naraz myśl, aby za nim pójść do środka. Już nieraz dawniej zbierała mię chętka tam zaglądnąć, ale nigdy nie mogłem się zdecydować na to przedsięwzięcie. Nie tylko sama gąszcz kołąca odstraszała od tego, ale więcej ta moc węży, które się tam plątały i spodem i po gałęziach, a wreszcie i moskity, zamieszkujące takie mroczne zagajenia. A najbardziej broniły tam wstępu wielkie i zjadliwe osy, których liczne gniazda w kształcie papierowych jabłek wisiały po gałęziach we wszystkich kierunkach. I — Bóg wie co tam jeszcze, czegobym przewidzieć nie zdołał.

Ciekawość jednak przemogła.

Podlazłem na czworakach pod pierwsze krzaki. Potem musiałem już pełzać, ciągnąc za sobą karabinek. Odsuwając z przed siebie wiotkie gałęzie, odczepiając inne, które haczykowatemi kolcami wpiły się w koszulę, posuwałem się z trudem i bardzo powoli. Po kilkudziesięciu krokach musiałem się zatrzymać dla wypoczynku, pot bowiem oblewał mnie strugami — taka tam panowała parnota.

Leżąc na ziemi, zacząłem się rozglądać dokoła. Oko oswoiwszy się z mrocznem otoczeniem, potrafiło po jakimś czasie rozróżniać pewne kształty na większą odległość, ale tylko spodem, dokąd nie sięgały rozgałęzienia powoji i lijan tworzących siatkę, dla oka prawie nieprzeniknioną.

Jakaś pustka wionęła z tego zakątka. Te liczne pręcia i łodygi krzewów, które wyrastały z ziemi, a nawet pnie drzew tu i tam z pośród nich się przebijające robiły wrażenie suchych zwałów drewna. Zdawało się, że tu trudno wypatrzeć jakiegoś żywego stworzenia, tem mniej „Mbawali“, która — Bóg wie już gdzie — w tej chwili się znajdowała.

Chcąc się trochę wyprostować, bo mię już krzyże bolały, rozgarnąłem wiszące nademną gałęzie. Spowodowany tem szelest — wypłoszył antylopkę. Była gdzieś w mem pobliżu, — a ja jej przedtem nie dostrzegłem. Dopiero gdym znowu powrócił do pozycji leżącej, mogłem na chwilę pochwycić migającą w tej matni jej sylwetkę — jak się w powolnych podskokach odemnię oddalała.

Ale zaledwie ta zniknęła z oczu — widzę jak druga z innej strony nadchodzi. To skoczy, — to znów przystanie. Nadsłuchuje. Gdy się ruszy, mam wrażenie, że wprost na mnie idzie. Jest już blisko, bo spostrzegam jej biało malowane odnóża, któremi — jakby z niecierpliwości — o ziemię uderzała.

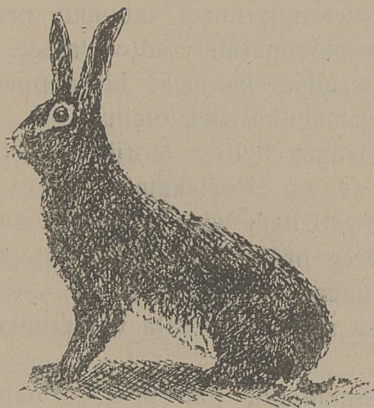
Czekam; może jeszcze bliżej podejdzie i okaże mi bodaj część swego korpusu? Ubiega pięć, wreszcie dalszych pięć minut, antylopka pozycji nie zmienia. Nie mogłem tego już dłużej wytrzymać — ruszyłem się, i to wystarczyło, aby się wyniosła na przyzwoitszą odległość.

Prowadziłem ją wzrokiem jeszcze długo, aż mi znikła za pniem rozłożystego baobabu.

Podsunąłem się w tym kierunku, lecz już nie z zamiarem obserwowania „Mbawali", ale, aby coprędzej znaleźć się na wolnem miejscu. Pod baobabem było nieco przestronniej. Stanąwszy na nogi, staram się w tej pozycji siłą przedrzeć się na ścieżkę, do której już niedaleko.

Zaledwie szarpnąłem lijanem, co niby gruba lina zwieszał się z baobabu, gdy cały szereg krzewów, powiązanych z nim drobniejszymi sznurami odezwał się silnym szelestem. Równocześnie słyszę, że coś głucho upada na ziemię. Coby to było? Na razie nic widzieć nie mogłem, głowa moja bowiem tkwiła w najbardziej zbitej gmatwaniny gałązek i listowia.

Przysiadam więc momentalnie a potem kładę się na ziemi. I co się okazuje? Oto lampart skulony, wynosi się cichaczem. To podsunie się z wygiętym grzbietem popod zwisające sznury lijan, to znów przeskoczy nieudolnie przez jakąś przeszkodę, a cały czas kluczy to w tę to ową stronę — tyłem do mnie zwrócony. — Uchodzi. Odwodzę kurek i staram się zmierzyć. Jest mi bardzo nieporęcznie, bo nie tylko nie umiem z pozycji leżącej strzelać, ale do tego ciągle tylko jego tył mam na muszce — a właściwie ogon. Jak tu strzelać? W ogon i do tego z małego karabinka? C. d. n.



WŁADYSŁAW GÜRTLER

Batory na łowach.

(Wyjątek z obszerniejszej pracy)

Dokończenie

Mówią kapłani, kończył Pan Bałuta, że na świecie obok Boga, który nim rządzi, stoi jeszcze szatan, jego wróg odwieczny.

Jeśli niegdyś poważył się kusić Chrystusa Pana, to jakże mógłby pofolgować marnemu człowiekowi? Napastuje go też ustawicznie, płata mu różne figle, niszczy na dobytku i na ciele. Chciałby się dostać i do duszy chrześcijańskiej, ale jeśli do niej wedrzeć się nie może, stara się opanować ciało i wywołać obłęd, spowodować bluźnierstwo, zaciemnić całkiem umysł lub przyprawić człeka o ciężką chorobę. Krąży on ciągle po świecie i wyprawia harce, których w żaden sposób pojąć nie możemy.

Najgorzej będzie ludziom, gdy przyjdzie przy końcu świata i wcieli się w Antychrysta. Wtedy przez trzy i pół roku będzie jeździł po ziemi, będzie ją niszczył ogniem, a ludzi gnębił i tracił. Oprą mu się tylko odważni i prawi chrześcijanie, jeśli wzywać będą w ciężkiej z nim walce często imienia Boga i mężów świętych. A że z dopustu bożego będzie panował, dlatego Boga i ludzi pobożnych, a czystych na duszy bojać się będzie i uciekać przed nimi.

Tutejsi wierzą, że niektórzy ludzie mają po dwa serca, — jedno z prawej, a drugie z lewej strony w piersiach. Za życia odznaczają się tacy wielką siłą, są czerwoni na obliczu i bardzo gniewni. Gdy jedno serce — to z prawej — strony bić przestanie, umierają. Pogrzebani, ożywają atoli w trumnie, rozwalają grób i wychodzą w nocy na ziemię. Siadają zwykle na grobach, zawodzą cichym płaczem, albo się chichocą, albo hukają, jak puhacze, strasząc żywych ludzi. Oczy ich świecą w ciemności żółtym blaskiem. To są upiory... Niekiedy zamieniają się w nietoperze, to znów w wilki drapieżne. Nienawidzą żywych ludzi, mimo, że ci zanoszą im na cmentarz jadło i napoje.

Jako nietoperze rzucają się znienacka na przechodniów, siadają im na karku i wysysają krew żywą z małej ranki. Do swojej ofiary przychodzą często w nocy, i senną pozbawiają krwi, czyniąc to tak długo, dopóki nie umrze. Chory męczy się kilka miesięcy, słabnie coraz więcej a nie wie co mu dolega. W postaci wilków zastępują jadącym drogę i rozszarpują konie i osoby. Biada okolicy, w której upiór włodarzyć pocznie!...

Każdego podejrzanego człeka powinni medycy oglądać po śmierci i gdy znajdą drugie tętniące serce, powinni je poświęcanym nożem przebijać. Byłby to jedyny sposób na upiory.

Przez mały cmentarz niedalekiej wsi przebiegała codziennie wieczorem młoda i piękna dziewczyna. Odwiedzała pewnikiem swoją przyjaciółkę... Gdy raz wracała do siebie, ujrzała siedzącego na grobowym kamieniu, młodego człowieka z czapką futrzaną na głowie. A że noc była miesięczna i widna, mogła mu się dobrze przypatrzyć. Siedział cicho z utopionym w ziemię wzrokiem. Twarzy nie oglądnęła...

Gdy drugiego dnia znowu od przyjaciółki wracała i tajemniczego samotnika zobaczyła, pozdrowiła go dobrem słowem, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, zerwała czapkę z jego głowy i pobiegła z nią do swego domu. Odważna to była białogłowa! Wróciwszy, uczuła jednak dziwny niepokój w sercu. Dnia następnego już nie wychodziła z domu... Gdy pełna lęku modlić się zaczęła przed spaniem i gdy potem już do snu się układała, usłyszała naraz silne pukanie do okna. Otworzyła je czemprędzej i zapytawszy: kto i czego sobie życzy, usłyszała odpowiedź, grobowym, mrożącym krew, wymówioną głosem: „Oddaj czapkę!" Nie namyślając się długo, podniosła leżącą w kącie i wyrzuciła ją przez okno. Czapka jednak wróciła do izby tą samą drogą z takim rozkazem: „Oddaj tam, gdzie wzięłaś!" Na takie dictum strach niezmierny ogarnął dziewczynę. Drugiego dnia i w następnych powtórzyła się historja. Panna poczęła się bać naprawdą; jeść i pić przestała i marnieć na oczach.

Poradziwszy się sąsiadów, poszła do księdza i opowiedziała mu swą przygodę. Świątobliwy sługa

boży pouczył jak umiał nieszczęśliwą i przyrzekł, że z nią i z procesją pójdzie wieczorem na cmentarz. Wtedy ona odda straszną czapkę temu, któremu ją zabrała. Winna się jednak wprzódy wyspowiadać, przyjąć św. Sakrament i przygotować, jak na śmierć... Tak się stało.

W następny wieczór wyruszyła procesja z kapłanem i dziewczyną na cmentarz. Przychodzą ludzie na miejsce i widzą siedzącego człowieka na grobie. Dziewczyna podchodzi powoli do niego, drżąc jak w febrze, podnosi rękę z czapką futrzaną, wdziewa ją na głowę i... w tej chwili pada nieżywa...

Tajemniczy samotnik znika. Ludzie słyszą tylko śmiech szyderczy. Zapach siarki zapełnia powietrze...

Był to upiór! — Takie despekta czynią one ludziom...

Znużył się leśnik stary przedługą opowieścią i na chwilę zamilkł, aby odetchnąć.

Ale król nie chciał go już dalej trudzić, więc mu podziękował. A że sam był już srodze zmęczony, rzucił swoim druhom serdeczne: „Dobranoc Waszmościom“ i poszedł do alkowy, dla siebie wyznaczonej, aby usnąć i wzmocnić ciało snem pokrzepiającym.

Po chwili spał snem twardym, zdrowym..

Śpij spokojnie, wielki Królu! Niech ci się przyśnią: Gdańsk, Wielkie Łuki, Psków, Wilno!

Snuj dalej wielkie plany, gruntuj potęgę Rzeczypospolitej, prowadź swój naród do sławy! Niechaj w twojej twórczej głowie krystalizują się olbrzymie zamysły, mające wstrząsnąć kartą Europy. Wszakżeś, wyjeżdżając do Polski, powiedział do swego otoczenia: „Bóg chce cudowne rzeczy na mnie okazować ku podziwowi całego chrześcijaństwa!“ Niechaj się te cudowne rzeczy na tobie czemprędzej spełniają! Nie pozwól spać i gnuśnieć narodowi, wykrzesz z niego święty ogień zapału i porwij go do czynu, zniszcz w nim prywatę i egoizm, wzbudź ofiarność na cele narodowe, zbuduj złoty most zgody i jedności, a nadewszystko natchnij go wiarą i ufnością we własne siły!

Koniec.



Inż. WALERY MARYAŃSKI.

Kilka spostrzeżeń i doświadczeń

z amunicją śrutową Zakładów Amunicyjnych „Pocisk“ w Warszawie.

Gdy w czerwcu 1927 na Wystawie Sportowej we Lwowie spotkałem się z amunicją śrutową wyrobu krajowego Zakł. Amunic. „Pocisk“ w Warszawie — wyznaję szczerze, że z pewnem niedowierzaniem odniosłem się w pierwszej chwili do tego fabrykatu.

Za wiele bowiem zawodów i rozczarowań doznaliśmy z dotychczasowemi wyrobami warszawskiemi — nieraz b. dobremi, nieraz b. lichemi — choć z tej samej wytwórni pochodzącemi. — Niestety o całe niebo przewyższały je dotąd zagraniczne solidne wyroby, np. niemieckie, marki Uttendorfer.

Stąd moja nieufność!

Jako miłośnik wszelkich gałęzi sportu strzeleckiego, oddający się studjom postępów w dziedzinie broni i amunicji myśliwskiej od lat kilkudziesięciu — zainteresowałem się z natury rzeczy nowemi patronami i rozpocząłem szereg prób, z których rezultatami chcę się z Sz. Czyt. podzielić.

Otóż już sama solidność w wykonaniu łuski a szczególnie wewnętrzne uszczelnienie komory prochowej tulejką prasowaną z jednego kawałka blachy zrobiły na mnie bardzo dodatnie wrażenie; ten ostatni zabieg — specjalność „Pocisków“ — uniemożliwia absolutnie wszelkie uchodzenie gazów i musi działać korzystnie tak na ostrość, jak i na równomierność strzałów.

Mając b. czułą wagę — rozciąłem po kilka ładunków z rozmaitych serji i przeprowadziłem kontrolę odnośnie do równomierności ładunku prochu i śrutu; rezultaty były najzupełniej zadowalające.

Na ogół żaden ładunek, który poddałem próbie, nie wykazał jakiegokolwiek błędu.

Trzeba jednak było z teorji przejść do praktyki i zacząć strzelać „Pociskami“.

Przeprowadziłem więc na mojej domowej strzelnicy cały szereg prób, które tylko w głównych zarysach — nie chcąc nudzić Sz. Czyt. — streszczę.

Pierwsza serja prób szła w kierunku kontroli siły przebicia.

Jako konkurenta patronów „Pocisk“ wybrałem niemieckie patrony marki „Uttendorfer“ — 1·8 gr. prochu „Rotweiler“ i śrut twardy 3 mm. Jako broni użyłem dobry sauerowski dryling kaliber 16.

Jako medium do prób wziąłem suchą deskę jodłową, bez sęków, 5 cm grubą, o wymiarach 50 cm w kwadrat i dałem na odległość 35 m do jednej jej strony 10 strzałów „Pociskami“ — do drugiej taką samą ilość „Uttendorferami“, poczem zesumowałem głębokość dziurek pojedyńczych śrutów (oczywiście każdej strony deski dla siebie) i podzieliwszy je przez ilość dziurek, otrzymałem przeciętną głębokość przebicia.

Rezultat porównania wypadł na korzyść „Pocisków“ — bo przeciętna głębokość przebicia osiągnięta

„Pociskami" przewyższyła przeciętną, osiągniętą „Uttendorferami o 8%.

Na pozór nie jest to wielka różnica — jednak przy strzale śrutowym nie do pogardzenia; przypisuję ją uszczelnieniu komory prochowej prasowaną blaszaną tulejką.

Drugi punkt programu wytkniętego stanowiła wytrzymałość łusek. Mianowicie postawiłem sobie pytanie, po ilu strzałach nastąpi pęknięcie wzgl. przepalenie łuski? To pytanie jest ważne dla tej szerokiej rzeszy Braci w św. Hubercie, których skromne środki zmuszają do największej ekonomji — a więc i do rekonstruowania łusek. Jeśli „Pociski" bowiem mają wyprzeć z kraju zagraniczne wyroby — to muszą znaleść właśnie w tej szerokiej rzeszy myśliwych swoich zwolenników i nabywców.

Do prób wziąłem 25 nowych łusek, nabiłem je wzmocnionym umyślnie ładunkiem prochu: 1·9 gr. Rotweilera i rekonstruując łuski, doprowadziłem każdą z nich do stanu zupełnej nieużywalności.

Przeciętny rezultat był następujący:

Każda łuska jeszcze po 4-tym strzale była zupełnie zdolną do użycia, nie okazując ani przepalenia, ani pęknięcia, ani deformacji.

Po 5-tym strzale zaczęły się okazywać rozdęcia — łuska wchodziła do komory nabojowej z pewnym oporem — jednak ani przepalenia ani pęknięcia tulejki papierowej nie obserwowałem u żadnej.

Kazawszy wydęte łuski przekalibrować w odpowiedniej matrycy, strzelałem dalej. Przeciętnie po 7-ym strzale były tulejki papierowe przepalone a ich wyloty zakręcaniem tak wystrzępione, że można je było jako zupełnie zużyte uznać. Charakterystycznem było, że żadna łuska „Pocisku" nie wykazała, zwykle zresztą obserwowanego, podłużnego pęknięcia papierowej tulejki.

Takiej próby nie wytrzymały ani Eley ani Uttendorfer — każdy byłby już po czwartym strzale, o ile nie wcześniej, pęknięty na wzdłuż.

KAPITALNY ÓSMAK UBITY NA WABIA



PRZEZ KS. E. LUBOMIRSKIEGO W MONASTERZYSKACH 7 VIII. 1927.
Wysokość: lewa odnoga 29 cm; prawa 28 cm; rozpiętość 17 cm; obwód róż: 15·5 cm; obwód nad różami: 10 cm; obwód pod końcem ocznym: 9·5 cm.

To byłyby rezultaty prób do tarczy.

Najbardziej będą jednak Sz. Czytelników interesowały rezultaty osiągnięte w strzałach do zwierzyny.

Przytoczę kilka charakterystycznych spostrzeżeń. Otóż chcąc być w próbach z „Pociskami" konsekwentnym, wybrałem się w sezonie jesiennym z tym samym drylingiem na kaczki. Z 7-miu sztuk krzyżówek zabitych jużto z łódki, jużto na ciągu — przyniósł mi pies wszystkie. Każda była nieżywą w miejscu, gdzie na ziemię spadła; odniosłem więc wrażenie, że „Pociski" zabijają b. dobrze. Nawiasem nadmieniam, że 4 z tych kaczek ubiłem z dość znacznej wysokości, strzelając śrutem 3 mm.

Tym samym numerem śrutu, z tego samego drylinga zabiłem 27. XI. 1927 na śniegu, przy — 2° C patronem „Pocisk" na kroków 37 lonżującego zająca. Przeprowadziłem sekcję zwierza. Rezultat: 2 śruty przeszły go na wylot, 4 śruty przebiwszy skórę i oba płuca znalazłem z drugiej strony pod skórą. Jeśli o siłę przebicia się rozchodzi, uważam ten rezultat za bardzo dobry.

To byłoby wszystko, co na razie o ładunkach śrutowych „Pocisk" mam P. T. Towarzyszom w św. Hubercie do zakomunikowania. Korzystając z potężnych mrozów zwrócę na najbliższych polowaniach moją specjalną uwagę na zachowanie się pocisków przy wielkiem zimnie.

Reasumując jednak już zebrane doświadczenia, mam wrażenie, że „Pociski" — o ile ich fabrykacja na obecnej wyżynie się utrzyma i nie pogorszy (jak to u nas w rozmaitych gałęziach przemysłu krajowego niestety często bywa) — mają wszelkie szanse wyprzeć zagraniczną konkurencję z Polski, czego „Pociskowi" przy Nowym Roku z całego serca życzę.



W. J. D.

Różnie to bywa...

Ciąg dalszy i dokończenie.

II.

Za młodych lat przeróżne człowiek przechodzi epoki, zanim się różnych rzeczy nauczy. Tak było i ze mną. Mówię tu o myślistwie, bo w innych rzeczach wyglądałoby to na samochwalstwo, że niby dziś jużem wszystkie rozumy pozjadał. Miałem więc między innemi i okres — broni.

Żadna strzelba nie była mi dosyć dobra. To przykład, to lufy, to siła przebijania, to gęstość krycia, to... albo ja dziś już pamiętam to wszystko, jakie to tam były balistyczne wymysły?! Ot, poprostu miałem kręćka na tym punkcie. A bzik to był przykrzejszy, że ojciec krótko trzymał, na wymysły pieniędzy nie dawał. „Jak masz kaprysy, to sobie na nie zarób". Trzeba było słuchać — i kończyć studja — strzelając tymczasem z (doskonałej zresztą) 12-ki, roboty Tabaczkowskiego, z Kruppowskiemi lufami. Ale jak się ma jakąś manję, to takiego ćwieka byle rozumnem dowodzeniem nikt z głowy nie wybije. Po rolnictwie czemprędzej na posadę, by wreszcie zarobić — i swoją marotę zaspokoić. Dwa lata oszczędzania każdego grosza z pensji — i wreszcie!! Teraz korespondencja z wszystkiemi firmami, Purdey'a, czy Hollanda, to zanadto znane — zrobi tak, jak sam chce, a to musi być akurat to, co ja chcę. Po długich korowodach, pisaniach, zatrzymałem się na „Feeld rifle company“. Wszystkie najdrobniejsze szczegóły omówione pisemnie, wymiary, aż do długości cyngla (jeśli się nie mylę) podane i po paru miesiącach oczekiwania — są!! dwie rodzone siostry, z atestatami, próbnemi arkuszami, kasetą itd., itd.

Próbne strzelanie potwierdza atestaty, więc wszystko w porządku. Nastąpiły jeszcze próby amunicji, jaki ładunek, jakiego prochu przy jakim numerze jakiego śrutu daje optimum strzału. Wreszcie wszystko ustalone. Można zaczynać.

Dziś już nie pamiętam który, ale wiem, że jakiś proch angielski okazał się najlepszym, więc tylko takiemi ładunkami strzelam. Broń była rzeczywiście nadzwyczajna i rezultaty miałem bardzo zadowalające. Tak wyekwipowany pojechałem w Poznańskie na kuropatwy. Wtedy jeszcze te „massenmordy“ uważałem za myślistwo (dziś wiem, że to są konkurencje strzeleckie) — i używałem całą duszą. „Ondzie kury pofurały z majan“, „Zaś póńdziemy w dominialne physki“ — i „pękało“ się do biednych kurek setkami ładunków. Polowaliśmy przeważnie rodzajem „streifów“, idąc ławą dość gęsto, pieski tylko do aportowania. Tu-tam wzięło się jakąś remizę „na tir haut“ — a ja święciłem prawdziwe tryumfy. „Czy palnę na smugi, czy w górę do chmur, tu krwi płyną strugi, stąd leci grad piór“. Kilka razy podziwiano moje strzelby; opowiadałem wszystkie ich zalety, budowę, wymiary, właściwości balistyczne itd. Jednem słowem — furora.

Przepolowało się dwa tygodnie jak jeden „sen“. W dzień polowanie, wieczór tańce — od znajomych do znajomych. Aż nadszedł dzień, gdzie trzeba sobie było powiedzieć słowem poety: „Minęły dni wesołe w Aranzuez pobytu“ — i młody człowiek „nie weselszy“ musiał wracać do Galicji — bo się zbliżały siewy — a ja obejmowałem w zarząd jeden z majątków ojca. Popakowałem pięknie ładnie moje strzelbeczki do kasetki — i do domu — do pługa zajęć codziennych.

Jesień w tym roku była piękna, pogodna, w polu robiło się cudownie i bez wielkich wysiłków. Toteż od czasu do czasu można sobie było pozwolić na parę godzin odsapnięcia i wziąwszy Kara pointera, pobuszować tu-tam po ziemniakach za kurkami. I samemu nie wychodziło się z wprawy, no i kucharz był wdzięczny.

Tak też któregoś popołudnia się wybrałem. Pługi przeorywały saradellę na drugim folwarku pod lasem, skontroluje się tam robotę, a równocześnie skoczy się o pół kilometra dalej na świeżo zalesiony korczunek, gdzie się wywiodły trzy stadka. Trochę się je przestrzela. Więc strzelba i Karo na wózek i jazda. Dojechawszy do pługów, zatrzymuję. Mój Karo odrazu na ziemię — stoi i patrzy. Gdym wysiadł i wziął tylko laskę — Karo popatrzył na mnie z wyraźną pogardą, skoczył z powrotem na wózek, zwinął się pod siedzeniem i wyraźnie słyszałem, jak mi powiedział: „Na takie wycieczki porządnego psa się nie bierze, a to wzięcie strzelby, by ją na wózku zostawiać — uważam za zwyczajne oszustwo“. „Czekaj, czekaj, jeszcze zmienisz zdanie“, odpowiedziałem w duchu — i podszedłem do starego Andrucha, polowego, który zaraz zdał raport. Obeszliśmy pole. Talerzówka ślicznie saradellę pokrajała, pługi ją ładnie przeorują — nastawione dobrze, konie w porządku, ilość zrobionej roboty odpowiednia. Tylko tak dalej, a żyto będzie jak bór.

„Te! Fed'ku! — jak masz cztery konie, to nie rób trzema — siwego podgonić! Od tegoś fornal, żebyś poganiacza pilnował!“ „No, Andruchu, do wieczora jeszcze dwie godziny, to nie dacie rady skończyć. Macie na jutro do południa. Jutro rano tu będę, to dam dyspozycję na popołudnie.“

Te słowa „do wieczora trzy godziny“ przypomniały mi strzelbę na wózku i kury na korczunku. Jeszcze jeden rzut oka na pługi — i już siedzę na wózku. Po drodze w lesie spotykam leśniczego. Jak zawsze, ze strzelbą na ramieniu, z fajką w zębach. „Ein alter Förster“, jak z „Fliegende Blätter“ — sam zresztą o tem wie i trochę na to pozuje — ale mu to nie przeszkadza być bardzo porządnym człowiekiem i doskonałym myśliwym. „Siadaj pan zemną — przepłoszymy trochę kury na korczunku“. Karo, jak zobaczył, że wjeżdżamy do lasu, domyślił się widocznie, że to koniec rolnictwa a początek jego fachu, bo odrazu wylazł z pod siedzenia, przysiadł na zadzie, z nosem na przedniem siedzeniu i majda ogonem po dnie wózka, aż się rozlega.

Hou, tprrr — bo już korczunek. Karo pierwszy na ziemi, kręci się i z cicha popiskuje z ochoty. Wypakowuję z kasety Nr. 2, bo na niego dziś kolej. Torba z ładunkami przez ramię, — i „ano Karo! poszukaj“. Powoli sobie idziemy ze starym leśniczym, tu, tam przeglądając sadzonki, a Karo w pełnym galopie szeroko zakładając — szuka. Nagle aż nim zarzuciło i z galopu odrazu znieruchomiał. Przyczyna dość dziwaczna, bo wpół przekręcony, z głową pod kątem prostym do kierunku zadu. tylko ogon wyciągnięty jak struna, drży nerwowo. „Waruj!“ — i przyśpieszonem tempem dochodzimy do zacnego pieska. „Pójdź dalej“ — ani z miejsca. „No, pójdź dalej“ — wolne, skradające się rozprostowywanie ciała i krok naprzód — znowu stoi; „no, idź-że dalej!“ Trzy kroki szybsze, znów znieruchomiał — „no, dalej!“ — kilka szybszych kroków nerwowych i... brrr — jedna sztuka — strzał, tuman pierza i równocześnie z rozgłosem burknięcia stadko się zrywa i zostawiając jeszcze dwa trupy po naszych strzałach — wznosi się na skrzydłach i zapada w drugim końcu korczunku w rowie zarosłym tarniną. „No, Karo, aport!“ Ale on już bez zachęty jedną niesie, drugą odnajduje po chwili. „No, a gdzie trzecia?“ „Poszukaj, aport!“

Więc już nie swoim zwyczajem, górnym wiatrem, ale z nosem przy ziemi zatacza duże koło i po chwli staje. „Daj aport“ — skok, kilka kroków galopem — i już łapie w pysk podskakującą trzecią zbarczoną — i przynosi. „Dobry piesek“, „puść“. I odbieram kurkę i przytraczam. „To duże stadko — szesnaście sztuk, wzięliśmy trzy, zostało trzynaście — idziemy do nie, może się uda stadko rozprószyć, to pojedyńczo jeszcze z 4—5 weźmiemy, reszta na przychówek“. Idziemy.

Po drodze znów Karo staje, ale bez tego natężenia jak przedtem, uszy jekby ciekawie, czy figlarnie podniesione, głowa dość wysoko. To nie kury. „Pójdź dalej“. Odrazu skok czterema łapami w górę i dalej takie same niespokojne, nerwowe skoki to w prawo, to w lewo. „Będzie derkacz“, powiada stary leśniczy. I rzeczywiście, po chwili swoim cichym, chwiejnym lotem porywa się chróściel-żydek, jak go w naszych stronach chłopi nazywają, ale prawie równocześnie spada jak zmięta miękka szmata, strącony strzałem. Dochodzimy wreszcie do tarniowego rowu. Pies odrazu zwietrzył i cały w sobie skupiony prowadzi wyciekające kury wzdłuż rowu. Ja idę jedną stroną, leśniczy drugą. Już koniec rowu niedaleko, — porywają się dwie z głośnym furkotem — wypuszczam je trochę, bo są za blisko i strzelam do pierwszej — widzę że spada, ale nie strzelam do drugiej, bo strzał był jakiś mocny i tak mnie strzelba trąciła, że mnie jakby ogłuszyło. Chwilę stoję, nie całkiem rozumiejąc co jest. Dopiero po chwili połapuję się, że coś się stać musiało. Patrzę na strzelbę — prawa lufa zaraz za komorą, rozerwana na przestrzeni jakich 10 cm. Szyna oderwana sterczy do góry do połowy luf. Chcę otworzyć strzelbę, by wyjąć drugi ładunek, ale coś lewa ręka odmawia posłuszeństwa, tak, że mi strzelba upada na ziemię. Patrzę na rękę — wygląda, że cała w kompocie — wszędzie widzę jakieś strzępki mięśni i skóry. Trochę mi się w głowie zakręciło — ale jakosiem się przełamał i patrzę bliżej. No, nie tak strasznie; tylko środkowy palec szpetnie obrany z mięsa, świeci gołą kością — reszta mniejwięcej cała — kilka szram na dłoni, kilka szargnięć po palcach — i parę kropek na twarzy. Mam polskie szczęście, bo mogło być gorzej. Wszystko niezbyt krwawe, bo widocznie silnie przypalone. Owijam więc całą rękę chustką, prawą podnoszę strzelbę, otwieram — ejektory wyrzucają oba ładunki wystrzelone. Widocznie wstrząśnienie wywołało opadnięcie i drugiego sztyftu i ten drugi strzał zabił biedną kuropatwę, którą Karo przyaportował — i przez cały ten czas siedzi z nią w pysku, jak na porządnego aportera przystało. Wróciłem zaraz do domu, skąd po prowizorycznym opatrunku nocą do Lwowa. Na drugi dzień zacny prof. Rydygier pozszywał co się dało, co się nie dało, a w tem i koniec średniego palca, poobcinał — i po dwu tygodniach noszenia ręki na temblaku byłem znów zdrów i wesół.

Ale strzelba przepadła!!

Posłałem ją do Neumannswalde po parera, — brmiało: „Typischer Bruch wegen zu hohem Gasdruk“. Zwróciłem się do firmy o odszkodowanie — otrzymałem odmowę, za zawysokie ciśnienie gazów w lufie odpowiadać nie mogą, bo to wina zamocnych widocznie ładunków. Firma od ładunków utrzymywała, że robią proch i ładunki jednakowe, że więc wina nie po ich stronie. Dowieść nic nie można było, bo wystrzelona łuska nie chciała się przyznać, wiele przedtem zawierała prochu.

Na pociechę zrobił mi Tabaczkowski parę strzelb z Whitwordowskiej stali, jakie sam uważał. Nigdy przedtem ani potem takich strzelb nie miałem i wątpię, czy kiedy mieć będę. Niestety, przepadły w Bolszewji. Na pamiątkę po tamtych, został mi krótszy palec. Drugą z pary bowiem podarowałem gajowemu, ale z tem, by strzelał tylko dymnym prochem — zdaje mi się jednak, że jej nigdy nie używał — ale że ją podarował swej żonie na koromesło do noszenia wody.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Żmija, jej życie i obyczaje

(ze wspomnień Karola Hagenbecka)

Żmija w całej żywej przyrodzie jest tem jedynem, a zarazem wyjątkowem stworzeniem, nie mającem ani jednego przyjaciela, a wielu wrogów tylko. Tak człowiek jak każde inne stworzenie, od małego do największego, żywi dla tego wstrętnego płazu wstręt, odrazę, a nawet bojaźń — i albo go zawzięcie prześladuje i tępi, lub też unika go lękliwie i z przerażeniem przed nim się chroni. W mym hamburskim zwierzyńcu, mówi Hagenberg, — pewnego razu wypełzł z swej klatki na wolność olbrzymi „dusiciel“ i pełzając po alejach i trawnikach, podniósł na nogi cały zwierzyniec. W jednej chwili cały ogród zawrzał jednym krzykiem, rykiem, wrzaskiem, skrzekiem i piskiem żyjących w nim stworzeń, małp, wielkich kotów, drapieżnych ptaków i śpiewnych ptaszyn. Wszystko co tam żyło, w panicznym strachu ubiegało przed strasznym tym gadem, kryło się i poszukiwało schronienia w oddalonych zakątkach, a choć niezadługo boa znalazł się w swym domku, zgiełk i wrzawa czas długi nie milkła jeszcze. Ta bojaźń i ten przestrach stworzeń jest najzupełniej zrozumiałym i uzasadnionym nietylko dla zwierząt, lecz i dla człowieka, bo wiadomem jest przecie każdemu, że gdy jedne płazy są strasznie jadowite, inne posiadają straszną siłę muskułów i przy najmniejszem ich rozdrażnieniu są gotowe do napadu i mordu, a ich żarłoczność jest wprost nienasyconą i nad wyraz wstrętną. W mem półwiekowem współżyciu i obcowaniu ciągłem z wszelkiemi zwierzętami, me zdrowie, a nawet życie, niejednokrotnie narażałem na szwank, niejedno żebro i kość trzeszczały w ich uścisku strasznym, niejedną otrzymałem ranę, lecz żadnej z mych walk z zwierzem czworonożnym nie cechowała taka złość, zawziętość i niebezpieczeństwo, jak w ataku i pojedynku z gadzinami wielkiemi.

Rekord w obrażeniach mego ciała przynależał zawsze w tym wypadku żmijom. Wiele też czasu, a więcej jeszcze mozołu i trudu poświęciłem mem obserwacjom nad życiem i zwyczajami płazów i przyszedłem do przekonania niezbitego, że 18 stopowy dusiciel jest w stanie zadusić w strasznym uścisku swych pierścieni cielesnych najsilniejszego człowieka w ciągu kilku minut, a jad grzechotnika skończyć z nim w jeszcze szybszem tempie. Czarnoskórzy mieszkańcy Borneo są częstemi ofiarami tych potworów strasznych i giną w okropnych męczarniach w ich uścisku.

C. d. n,

Korespondencje

Nawajowa, w styczniu 1928.

W dniach 3. i 4. stycznia odbyło się polowanie na dziki w Spuszy w grodzieńskiem w lasach ks. Eustachego Sapiehy — chociaż to leży daleko poza okręgiem działalności M. T. Ł. — to jednak uważam za swój obowiązek podzielić się wiadomością o tych królewskich łowach, w których miałem szczęście uczestniczyć.

Przy przecudnej, mroźnej i słonecznej pogodzie spędziliśmy te dwa dni wśród przepięknych borów litewskich jakich poza Puszczą Białowieską na równinach nie widziałem i w przemiłej gościnnej oficynce, „pałacem“ zwanej (pałac właściwy spłonął podczas wojny) w towarzystwie gospodarza, jego małżonki, syna i towarzyszy.

Polowanie było prowadzone znakomicie pod sprężystem kierownictwem nadleśnego p. Bergfrieda. Sam gospodarz, znający knieję i przesmyki zwierza, stawiał myśliwych, którzy przy częstych spotkaniach z wychodzącemi bardzo dobrze dzikami, z większą lub mniejszą celnością strzelając, położyli 16 dzików, w tem trzy odyńce, z których podpisany jednego, syn gospodarza — siedmnastoletni Jasiek — drugiego, a ordynat Maurycy Zamoyski trzeciego.

Odyńca swego podpisany zabił całkiem nielegalnie, gdyż w ostatnim miocie, gdy się już dobrze ściemniało, było już więc dawno po zachodzie słońca — kiedy nowa ustawa polować już nie pozwala. Wilków w tym roku nie spotkano. W poprzednich latach ubiłem tam kulami dwa piękne stare samce.

Adam Stadnicki.

Lwów, w styczniu 1928.

W uroczym zakątku Podola — prawie u ujścia rzeki Koropczyka do Dniestru — poważnie a malowniczo rozsiadł się „Koropiec“, własność Stefana Badeniego.

Lasy swoje rozrzucił po skałach, jarach i ściankach Podola; lasy przeważnie liściaste, o licznych i gęstych kulturach świerkowych, tworzących naturalne twierdze i ostoje dzicze! Wysoka kultura łowiecka, zamiłowanie gospodarza w łowach, jego praca nad podniesieniem zwierzostanu, a w szczególności — tego królewskiego zwierza: „dzika“ — jego wytrwałość i energja, obficie zadawana karma, świetne wyszkolenie straży leśnej i nagonki — znakomite prowadzenie łowów przez niego samego lub szwagra jego Józefa Jabłonowskiego — sprawiły, że polowania na dziki w Koropcu, na najpierwsze w kraju wybijają się miejsce.

Na polowaniu w dniach 16, 17. i i 18. stycznia 1928 w sześć strzelb ubito: dzików 20, z czego jeden potężny odyniec, 15 grubych sztuk i 4 warchlaki — otropionych dzików mieliśmy blisko sto — bądź sztuki pojedyńcze, bądź większe lub mniejsze stada w każdym miocie, tak, że lekko można było ubić prawie drugie tyle, gdyby nie strata najlepszego pieska — starego Foka — który drugiego zaraz dnia przeforsowany pogonią w głębokim śniegu — zaginął! niestety! Za te cudne, wprost królewskie łowy i za przepyszne chwile spędzone w Koropieckiej kniei spędzone — przeważna część uczestników, tylko skromnem choć serdecznem „Bóg zapłać“ — gospodarzowi odwdzięczyć się może i życzeniem, by w swej młodej i energicznej dłoni i nadal tak wysoko i chlubnie — dzierżył sztandar św. Huberta!

J. D. B.

Jagielnica, w styczniu 1928.

W kluczu Jagielnica odbyło się dnia 20. stycznia polowanie kociołkowe na polach Solimanówka-Kazimierz. Strzelb 21. Na rozkładzie 1 lis i 117 zajęcy.

Szafranek.

Upraszamy członków i delegatów naszych o sprawozdania z odbytych polowań. Prosimy o dokładne podanie nam rozkładów ubitych zajęcy oraz dzików.



Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 20. stycznia 1928. r.

Przewodniczy wiceprez. Alfred Sander, obecni członkowie Wydziału: Wł. Garapich, Dr. A. Małaczyński i H. Prek, zastępcy: St. Jaśkiewicz, Dr. Fr. Piechowski i dr. J. Rosinkiewicz, zaproszony M. Chrzanowski, prowadzący protokół Wł. Wesołowski.

Sprawozdanie, wybranej na posiedzeniu w dniu 19. grudnia 1927., Komisji dla przestudjowania rozporządzenia o prawie łowieckim przyjęto po ożywionej dyskusji do wiadomości i uchwalono wygotowany przez nią memorjał w tej sprawie.

W poczet członków zostali przyjęci: Roman Bartmański w Sielcu pow. Kamionka strumiłowa, Jan Gołębski w Pilawie pow. Buczacz, Tytus Mysłakowski w Złoczowie i Mieczysław Wartanowicz we Lwowie.

Z Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie.

Od czasu ostatniego ogłoszenia, w poczet członków zostali przyjęci: Battek Józef, Zawoja, pow. Maków; Fidelus Wład., Zembrzyce, pow. Wadowice; Kurdowski Stefan, Białka, pow. Chrzanów; Mirocha Jan, Budzów, pow. Wadowice; Nitoń Stan., Maków; Ossowski Wiktor, Nowy-Targ; Schwarz M., Zabłocie, pow. Żywiec; Tempka Ignacy, Maków; Thiele Wilhelm, Zawoja, pow. Maków; Tow. Łowiecko-Myśl.-Rybackie, Maków; inż. Trenczak Wład., Kąty, pow. Chrzanów; Tuma Włodzim., Pilzno; inż. Wachlowski Kamil, Jaworzno, pow. Chrzanów; Wandzel Andrzej, Sucha, pow. Maków; Wołoch Stan. Myślenice i Wrona Antoni, Zembrzyce, pow. Wadowice. Jednocześnie z żalem przychodzi nam tu zaznaczyć ubytek członka śp. Romana Marczyńskiego, właść. ziemskiego i przemysłowca w Prądniku Czerw., który należał do Tow. od chwili jego powstania.

Mianowany został delegatem okręg. na powiat myślenicki prof. gimn. Stanisław Wołoch w Myślenicach

w miejsce prof. Józefa Wątorka, który przesiedlił się do innego powiatu.

W czasie od września ub. r. po dziś odbył Wydział 3 posiedzenia, na których załatwiono szereg ważnych spraw bieżących.

Przypominamy opłatę wkładki członkowskiej 7 50 zł na I. kwartał kalend. b. r. oraz wyrównanie ewentualne wkładek poprzednich i prosimy członków zalegających, także w Krakowie zamieszkałych, *o rychłe* uiszczenie należytości dołączonym czekiem P. K. O. (Nr. konta 405.265), dla otrzymania ciągłości w regularnej wysyłce dwutygodnika.

W końcu ponawiamy usilną prośbę do członków, a zwłaszcza delegatów okręgowych na powiatach, ażeby po zamknięciu sezonu polowań, zechcieli najrychlej przesłać nam swe sprawozdania łowieckie dla użytku statystycznego oraz celem zamieszczenia ich na łamach organu Towarzystwa.

Fakt przemiany „Łowca“ przez Centralę Towarzystwa z miesięcznika na dwutygodnik, uzasadnia tem wymowniej obie prośby nasze.

Kraków, dnia 19. stycznia 1928.

Prezes *Stiller* em. gen. dyw. Sekretarz *Morawetz*

OKÓLNIK

Doniesiono Wydziałowi Rawskiego Towarzystwa Łowieckiego, że w lasach w Poddębcach znaleziono 10 sarn padłych na motylicę, że w lasach Karowskich i Wierzbickich również znajdują się padłe sarny — a stan sarn w lasach w Rzyczkach i w dobrach Siedliskich jest w porównaniu z dawnym stanem, uderzająco mały.

Wobec tego należy w interesie gospodarki łowieckiej działać, przeciw — stan sarn i zajęcy — niszczącej zaraźliwej chorobie, jaką jest motylica. Jedynym, prawie jedynym środkiem, którego skutki dodatne udowodniło doświadczenie — jest zakładanie lizawek.

Wydział Rawskiego Towarzystwa Łowieckiego, którego obowiązkiem jest dbanie o stan zwierzyny, zwraca się do WPana z prośbą o jaknajśpieszniejsze założenie gęstej sieci tych lizawek.

Zwracamy jednak uwagę, że do założenia lizawek (7 części gliny i 3 części soli bydlęcej) może być użyta tylko glina zupełnie wolna od piasku.

Gdy jednak takiej gliny w naszym powiecie prawie niema, to trzeba glinę rozrobić wodą do stanu płynnego i zostawić ją po dokładnem wymieszaniu przez 24 godzin — a piasek i glina ułożą się osobno. Po odlaniu wody i usunięciu warstwy piasku, uzyska się czystą glinę. Wskazaną jest również rzeczą, użyć na ramy lizawek drzewa nieokorowanego — a celem prędszego zwabienia sarn do lizawek — włożyć do nich kawałeczek kamfory.

Rawskie Powiatowe Tow. Łowieckie.

ODEZWA.

Państwowa Rada ochrony przyrody przystąpiła do zorganizowania „Ligi ochrony przyrody“ która będzie miała na celu ochronić przed zniszczeniem ginące gatunki fauny krajowej, zachować odwieczne okazy flory tudzież tworzyć takie rezerwaty by pewne charakterystyczne przestrzenie naszych ziemic w niezmienionym kształcie i krajobrazie przekazane zostały potomnym i zachowane przez najdłuższy możliwie jeszcze czas.

Zamierzenia P. R. O. P. są tak doniosłe, a tak swojskie sercu każdego prawdziwego myśliwego, że właściwie nie potrzebujemy zachęcać towarzyszy z pod znaku św. Huberta, aby przy każdej sposobności i każdym sposobem cele jej popierali, a przedewszystkiem, aby się licznie zgłaszali na członków tworzącej się „Ligi“.

Według § 9. statutu „Ligi“ roczna wkładka członka jednostkowego wynosi 5. Zł. rocznie.

Korespondencje kierować należy pod tymczasowym adresem „Ligi“ Kraków Lubicz 46., na ręce prof. Władysława Szafera.

Przysłowia myśliwskie.

„Kto raz myśliwskiej polewki zakusi,
Już ten językiem ich mówić musi“.
Klonowicz.

„Wymknij się, jako sarna z ręku myśliwcowych“.
Biblja Radziwiłłowska.

„Dobra psiarnia—największy honor myśliwczykowi czyni“
Monitor Warszawski.

„Nuże! mój miły leniwcze,
Na piecu sławny myśliwcze“.
Rej.

„Żony mężów myśliwych nie lubią“.
Zabawy przyjemne i pożyteczne.

„Częściej na łowy dla wolnej myśli, niż dla zwierza wyjeżdża“.
Stanisław Lubomirski.

„Łowczych na świecie najwięcej Sami łowczy na świecie: ci rozkosz, ci sławę, ci pieniędzy szukają“.
Żeglicki.

Zebrał Dr. Stanisław Koźmian Rejcher.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

TREŚĆ: Seweryn Krogulski: Pół wieku (C. d.) — Karol Dudik: W sprawie hodowli sarn. — Juljusz Borkowski: Moje wspomnienia z Dawidgródka. — Antoni Pisuliński: Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (I. Antylopa „Mbawala“, c. d.) — Władysław Gürtler: Batory na łowach (dok.) — Inż. Walery Maryański: Kilka spostrzeżeń i doświadczeń z amunicją śrutową Zakładów Amunicyjnych „Pocisk w Warszawie. — W. J. D.: Różnie to bywa... — Władysław Czerniejewski: Żmija, jej życie i obyczaje. — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa. — Okólnik. — Odezwa. — Przysłowia myśliwskie.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.